

Podróż z „Panem Tadeuszem” 1)

1.

Zakład Urzędów Teatralnych w Warszawie sporządził aluminiowe skrzynie. Zapakowano w nie kostiumy, rekwizyty, całe decorum. Należało przecież pokazać „Pana Tadeusza” w pełnym efekcie teatralnym — kolorowo, soczyście, po polsku, po Mickiewiczowsku; choć naturalne to, że poemat kojarzy się z monochromią drzeworytów Andriollego, ale też prawda, że opisy wieszczą rozbliskują barwami o skrupulatnie wyszczególnionej gamie. Ta sama firma wykonała małą nastawnię elektryczną na obwodach scąlonych, żeby można było regulować natężenie w warunkach miejscowego napięcia — kanadyjskiego i amerykańskiego; nastawnię specjalnie zaprojektowano na ten wyjazd.

Z kolei Wytwórnia Sprzętu Sportowego w Górze Kalwarii przygotowała specjalną konstrukcję nośną umożliwiającą ustawienie kurtyny w każdej sytuacji, „nawet w szczerym polu”, jak mówili technicy teatralni.

Nie wszystkie jednak aluminiowe skrzynie dotarły do Kanady; porozielane komputerem krążyły gdzieś po lotniskach albo utknęły, jak twierdzili inni, w przepastnych magazynach wielkich portów lotniczych... Zabrakło dość istotnych elementów wpływających na efekt, na rezultat. Więc: jak będzie z efektem? — to pytanie zadawał sobie wszyscy — reżyser przedstawienia, aktorzy, krawcy, stolarze, elektrycy. Przed pierwszym występem w Kanadzie do charakteryzujących się aktorów przysłała niosąc tekturową tacę garderobiana i spokojnie oświadczyła: „Wasy nie doszły, te w pościechu dorobiłam sama...”. Ale w zaginionych skrzyniach zapodział się też mastiks, dlatego podczas pierwszych przedstawień aktorzy narzekali, bo wasy odklejały im się i musieli o tym myśleć...

2.

Na stołach i na wieszakach na zapleczu auditorium w High School of Commerce w stolicy Kanady Ottawie leżą dziwne rzeczy przywiezione tu z Polski. Przyglądają się im dwaj tutejsi brodacze z uczelnianej obsługi technicznej... Utańskie czapki, kolpaki, kontusze „gredyturowe”, konfederatki „z czaplami pióry”, lise czapki, czerwone buty, mundury „sine z polskimi wyłogi”, pasy lite, karabele, rapiery, szpady, żupany złotem szyte — słowem „stroje damskie, pańskie, żołnierskie” biorące udział w tej historii szlacheckiej z roku 1811

i 1812 we dwunastu księgach wierszem na scenę przełożonych przez Jerzego Adamskiego, a na scenę przeniesionych reżyserią Janusza Bukowskiego w Teatrze Polskim w Szczecinie. Jakże zdziwienie z tutejszym *environment*!

3.

W Ottawie pierwsze zeknięcie z NIMI, z Polonią. Przyszli do tej Wyższej Szkoły Handlowej jak u nas przychodził się do teatru. Widać, że Polacy, to się odczuwa. Dwie godziny przedtem stoimy na scenie i przyglądamy się pustej bardzo ładnej sali, scenie obszernej i wyposażonej w wyciągi i odpowiedni garnitur reflektorów. Z wolna, w sposób naturalny następuje adaptacja... Krótkie narady, padają polecenia. Reżyser zastanawia się, konsultuje się z technikami. Jak będą aktorzy wchodzić i schodzić ze sceny? Aranżacja elementów dekoracyjnych... Jak brzmiały głosniki z muzyką Kurylewicza? Ktoś zastanawia się czy będzie dobrze słychać w dalszych rzędach. Impresario na to: „Proszę państwa! Zapelnione będą najwyższe cztery rzędy, powieźmy sześć...”. No, myślimy, widocznie tak tu już jest... Lecz gdy rozpoczyna się przedstawienie sceną spotkania Zosi z Tadeuszem sala jest... pełna. Przyglądam się IM z ogromną ciekawością. Czuję, że po zgaśnięciu światła jakoś zmienili się. Czuję, że jestem wśród Polaków. Uruchomiony ręką Tadeusza kurant wygrywa Mazurka Dąbrowskiego... Czuję, że wszystkich tu zgromadzonych a wraz z nimi i mnie pochłania absolutna cisza...

4.

Przyglądam się IM jeszcze uważniej na drugim przedstawieniu — w Montrealu. Ogromny, wydłużony i niski obiekt mieszczący taki tutejszy AWF. Auditorium znów przystosowane do widowisk teatralnych. To znaczy wszystko jest tak jak w prawdziwym teatrze poza typowymi dla teatru „rekawami” na dekoracje i garderobami dla aktorów. Widzów przybyło ponad 800, sala znów wypełniona po brzegi. Czy to już tak będzie? Wbrew ostrożnym zapowiedziom? Publiczność, jak się wydaje, elitarna, nawet szykowna. Ogarniam wzrokiem całą półkolistą salę. Są polscy, piękni, mówią wymśnioną polszczyzną. Dziwne — myślę — dzielnica tzw. polska, przez którą przeszliśmy w dzień (teraz jest godzina 19 i ciemno, bo to luty) wyglądała zgola miżernie — jakies takie kolonialne

rudery oczekujące na buldożer w rejonie przeznaczonym do wyburzenia i tuż obok wzniesionych okazałych obiektów Centre des Arts oraz przypominającego kawowy tort hotelu Meridien. W Centrum Sztuki sala teatralna z prawdziwego zdarzenia; już po tym montrealskim występie mówiono: „Szkoda, że impresario nie wynajął tej sali, wówczas wyborowa polonijna publiczność przybyłaby we frakach...” Cóż, tamta sala niepomniernie więcej kosztuje.

5.

Jacy są? Po tych pierwszych wrażeniach? Przed każdym występem, w hallu, wre krzątania trochę chałupnicza, nieco przypominająca atmosferę występów amatorskich, bo takie wrażenie sprawia w końcu jednak nie teatralne otoczenie, raczej uczelniane (przechadzając się wzdłuż korytarzy czytam na drzwiach: „Gabinet biologiczny”, „Pokój profesorski” a dalej znów wiodą schodki do basenu kąpielowego...). ONI kupują płyty eksponowane na zestawionych stołach-kramikach i przede wszystkim kupują bilety... Wchodzi w płaszczach. Są pogodni i jak gdyby znali się wszyscy; taki występ to zarazem okazja do towarzyskiego spotkania. Lecz potem, podobnie jak już zauważyłem w Ottawie, po pierwszych taktach muzyki, po pierwszych słowach — owa zupełnie wyczuwalna przemiana. Jakby ścierała z siebie nalot innego bycia i myślenia, bo w hallu byli jeszcze jednak więcej kanadyjscy... A tu... A już, kiedy w tej jakże oddalonej od polskich skrajności sali, wlatuje z początku jakby trochę zagubione a wypowiedziane przez Narratora spektaklu Mirosława Gruszczyńskiego: „... Ojczyzno moja!... Ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie... Kto cię stracił...” — chyba bezwiednie — i tak już będzie na całej kanadyjsko-amerykańskiej trasie 25 spektakli — pogrążają się w owym bolesnym zaurczeniu trwającym już do końca przedstawienia. I cisza ta staje się niezwykle wychwytna — nie ujdzie w niej żaden taki lub podobny passus tekstu wieszczą, żadne dowcipne zderzenie słów, które z maestrią warsztatu aktorskiego zawieszają umięjetnie i w ten sposób akcentuje Telimena (Ewa Wawrzón) jakby na dłoni podając do zrozumienia puenty; już, już wybuchają brawa, już rozlega się śmiech... Piękne polskie twarze wzruszają się, smutnieją, oświeca je pogoda ale już inna, przywrócona swojskością... A kiedy po ko-

lejnej fermacie wyrastają z proscenium słowa drugiego Narratora, Karola Gruzy: „Polak, chociaż stąd między narodami słynny... Ze bardziej niż życie kocha kraj rodzinny... Gotów zawładnąć go, puścić się w kraj świata... W nędzy i poniewierce spędzić długie lata... Walcząc z ludźmi i losem... Pójdź mu śród burzy przyswieca tę nadzieję... Ze ojczyznę służy” — to wewnętrzne falowanie, ów rozpoczęty od najpierwszych chwil spektaklu ruch ku sercu idący, nabrzmiewa nie przeczuwanym wzruszeniem i brawami najzarliwzszymi... I łzami skrzętnie skrywany...

6.

Po spektaklach powracali do rzeczywistości, z której na dwie i pół godziny zostali wyrwani. Którą rzeczywistość traktowali jak złudzenie? Te, co od lat, od wieków stała się ich rzeczywistością codzienną czy ewokowaną przez teatr?

„Jesteśmy wam niezmiernie wdzięczni, gdyż dzięki wam zobaczyliśmy na scenicznych deskach ten arcydzieło tak drogi nam Polakom” — mówili krytycy, profesorowie uniwersyteccy i najwyżej sędziwi, a wśród nich także ci, którzy woleli w antraktach mówić po francusku w Kanadzie lub po amerykańsku w Stanach (woleli jak woleli, sędzę, że łatwiej im po prostu).

Nie dowierzali, że to będzie udane. Zwłaszcza ci, którzy z „Panem Tadeuszem” za pan brat byli i to od dziecka, choć tu się urodzili. Bywało, przychodził taki Polonus za kulisy do garderoby, albo przytapywał mnie w czasie przerw w foyer, i nuże recytował mi księgi opisujące ostatni zajazd na Litwie. Więc nie dziwota, że wąpili i sceptycznie się ustawiali tak na wszelki wypadek. I tym przyjemniejsze zaskoczenie: „Udało się! Nadzwyczajnie! Bardzo, bardzo!” — słyszałem podobne okrzyki po każdym z 25 przedstawień.

„Pana Tadeusza” uczono ICH w szkołach. Uczyli się też sami. Zastanawiałem się ilu poznawało poemat z tłumaczeń, chyba byli i tacy. Tłumaczył „Pana Tadeusza” w USA Watson Kirkconnell w 1962, dość późno więc chyba z myślą o młodzieży zanurzonej już w innej mowie. W dwa lata później, w 1964 Fundacja Kościuszkowska wydała przekład Kennetha MacKenzie. Warto jednak wspomnieć, iż za najlepsze dzieło translatorskie

naszego narodowego poematu uchodził na obszarze anglosaskim tłumaczenie z... 1917, a autorem jego jest George Rapall Noyes (w 1929 ukazało się wznowienie, co świadczy o powodzeniu przekładu, zresztą Noyes świetnie tłumaczył inne wiersze Mickiewicza i Kochanowskiego „Treny”).

7.

Zdumiewające jak polskie słowa Adama Mickiewicza okazały się komunikatywnie. To, czego obawialiśmy się... Nic podobnego, płonne obawy. Ten język skarżył się — jasny i w najdrobniejszych odcieniach zrozumiały — epickim pięknem wydobyty a fortiori konwencją dialogu (tekst komentujący wypowiedzią właśnie Narratorzy i ten brzmi w przedstawieniu stricte poetycko)... ONI to wszystko najczulej przyswajali rozpoznając w języku Mickiewicza swoje, nasze bogactwo. Cud tego języka! Bo oto dotarli do wytrawnej publiczności Montrealu i Nowego Jorku, wśród której podobno znalazł się ktoś z Sanguszków, dwóch generałów, znani uczeni i intelektualiści. Dotarli do robotników hut i rafinerii Chicago, do pracowników General Motors i American Motors w Detroit, do studentów polonistyki Uniwersytetu Loyola i Illinois Institut of Technology i do profesorów Uniwersytetu Notre Dame w South Bend. Dotarli do farmerów i leśników w osady Berrys Bay i miejscowości Wilno koło Oshawy w Kanadzie rekrutujących się z emigracji XVIII-wiecznej!

8.

Polonia i teatr... Podobno (wszystko, co tu piszę opatruję ową klauzulą przypuszczenia, jakże bowiem ufać zbyt sponstrzeżeniom po miesięcznym pobycie), więc podobna ścieżki przeciętnego Polonusa za oceanem zawierają się w trzech kierunkach — dom, praca, kościół... Teatr na tych ścieżkach nie figuruje, co nie musi dziwić aż tak bardzo, jeśli zna się otoczenie, w którym polonijna społeczność pozostaje zanurzona: w Ameryce i w Kanadzie nie ma stałych teatrów i tam ludzie po prostu do teatru — zawodowego! — nie chodzą; tak sobie jak u nas. W tym kontekście — lecz tylko w tym — praca polonijnego impresaria sprowadzającego z kraju rozmaite spektakle odbywające się na deskach scenicznych (jakie i co warto, to temat odrębny) — jest wiecie

pożyteczna. Polonia schodziła na nie po trosze jak do teatru właśnie, po trosze jak na towarzyskie party. Nikt tu na takie show nie przybywa piechotą, gdyż odległości wykluczają ten sposób komunikacji — więc autami i to tutejszymi krążownikami (zwykle któraś z odmian pontiac). I dlatego niektórych odstrasza wcale nie banalny kłopot z parkowaniem. I najczęściej rodzinne są to wyprawy... Bo to przecież za każdym razem wyprawa, i jak się zdarzało z „Panem Tadeuszem” wyprawa na odległość dobrych kilkudziesięciu mil... Tłumacząc słabą frekwencję na innych przedstawieniach impresario wprowadził również motyw psychologiczno-obyczajowy. Powiedział, że ludzie nie kwapią się z przyjściem na występ, bo to wszak prezentacja publiczna. Mówiąc: „A w co ja się ubiorę! imni mnie zobaczą i powiedzą, że moje interesy źle idą!”

Ha, być może wchodzą w grę i te motywy... Ten mieszczański imperatyw pokazania się, pokazania się, zademonstrowania swojej świetności... i bądź co bądź przewagi nad bliźnimi...

9.

Czyżby Amerykanie nie odczuwali instynktu teatru? Klóci się z tym potoczne wyobrażenie o świetności znanych nam choćby tylko ze słyszenia wydarzeń teatralnych kojarzonych zwłaszcza z nowojorskim Broadwayem czy doskonałym aktorstwem filmowym, Zgoda, lecz są to sublimacje, zaważone do elitarnego zaiste kregu niezwykle ostrą konkurencją, zjawiska i fakty. Teatr w naszym rozumieniu, jako fenomen powszechny i powszechnie dostępny, oczywiście teatr zawodowy, na co najmniej średnio dobrym poziomie, tam nie istnieje. 7-milionowe Chicago nie ma ani jednego stale działającego teatru! Sale owszem są i to niekiedy wspaniałe, lecz zazwyczaj puste czekają na przyjezdne zespoły. Podobno (więc znów „podobno”) prezydent Kennedy podjął próbę wychowania Amerykanów dla teatru, zalecił wprowadzenie do programu budowy nowych obiektów szkół typu *high, college i university* sal teatralnych, a także do większości uniwersytetów — kursów teatralnych i teatroznawczych. (Dodajmy, iż od czasów Kennedego uprawia się w szkołach... gimnastykę).

Zapytają pewnie czytelnicy jaką wobec tego, co tu powiedziano, podaj teatralną czy szerzej

sceniczną oferuje polonijny impresario? Działający — stwierdźmy to od razu — na zasadach najzupełniej samostlnych, bez formalnego umocowania ze strony oficjalnych władz kulturalnych Stanów Zjednoczonych czy firmy pełniącej rolę mecenasa. Impresario działa najdosłownie we własnym imieniu, sam decyduje o wyborze całego spektaklu czy poszczególnych wykonawców z kraju, występuje też jako osoba prywatna w pertraktacjach z naszym PAGART-em... Zatem — owa podaż... Przeważały programy składankowe; monologu Bruckiewicza, Łazuki, soltyśa Kierdziołka, satyra Prutkowskiego, piosenkarze — najczęściej Polonijscy i Kunicka, rozmaite rewie humoru i piosenki, (za nami podążała akurat rewia pt. „Tata się żeni”) ostawiony u nas Terzet Egzotyyczny przeobraził się obecnie w Grupę Wokalną „Isabella”; ostatnio cieszą się powodzeniem u impresaria, u publiczności jak wnioskuję z opinii chyba mniej, kapele podwórkowe uprawiające jak wiadomo podejrzany folklor, takie apaszowsko-ludowo-patriotyczne pomieszanie z poplątaniem, co już zupełnie mać Polonusom w głowie; aktywną działalność rozwija tu również Piotr Janczerski występujący z czymś w rodzaju Bractwa Kurkowego — w zimie uńczył polonijną publiczność jakimiś niby jasełkami, na które zwiedzeni zapowiadają przybyli licznie rodacy i doznali zawodu słysząc... beat; którego przecież i chyba w lepszym wydaniu mają dość u siebie...

Były też rzeczy ambitne, i te jednoznacznie(!) bardzo się podobają: 1968 — „Dziś do ciebie przyjść nie mogę” w reżyserii Ireneusza Kanickiego wystawione za oceanem przez warszawski Teatr Klasyczny, Fredry „Zemsta” w wykonaniu znakomitych naszych aktorów...

No, i niebywały sukces „Pana Tadeusza” ze Szczecina. Prawdę mówiąc nie za bardzo wyczuły przez impresaria, który działa „na wdech”, a ten go nie zawiodł tym razem, co w rezultacie wyszło także i na jego korzyść. A może w tym trafieniu w samą dziesiątkę przejawia się jakaś prawdziwość pozwalająca domyślać się czego to oczekuje polonijny widz i słuchacz? Jestem przekonany, że tak właśnie jest. Potwierdzeniem było każde z 25 przedstawień na łączącej 6 500 km trasie kanadyjsko-amerykańskiej podróży „Pana Tadeusza”.

CDN.

MARIUSZ CZARNIECKI